

czytamy klasykę literatury

LITERATURA ROSYJSKA

Fiodor Dostojewski
Bracia Karamazow

POWIEŚCI

WYDAWNICTWO PSYCHOSKOK



Fiodor Dostojewski

Bracia Karamazow

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2016

Fiodor Dostojewski
„Bracia Karamazow”

Copyright © by Fiodor Dostojewski, 1913.
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2016.

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Kamil Skitek.

Tłumacz: Barbara Beaupré.

Druk: L. Bogusławski, wydawnictwo - Biblioteka Dzieł Wyborowych,
Warszawa 1913.

ISBN: 978-83-7900-719-6

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
<http://www.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

CZEŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Historia jednej rodziny.

I.

Aleksy Fedorowicz Karamazow był trzecim synem właściciela ziemskiego, Fedora Pawłowicza Karamazowa, którego tragiczna i tajemnicza śmierć narobiła w swoim czasie wiele hałasu.

Ziemianin ów (jak go powszechnie nazywano, mimo, że całe prawie życie spędził poza obrębem swych ziemskich posiadłości) był to szczególny, jakkolwiek dość często zdarzający się typ człowieka. Obok lichego charakteru i rozpustnych skłonności, zdawał się być zupełnie pozbawiony zdrowego rozsądku, był, jak to mówią, „narwany”, z tych jednak narwanych, którzy umieją wybornie prowadzić własne interesy majątkowe, ale też tylko te. I tak naprzykład, rozpoczynając od bardzo małego, jako właściciel drobnego kawałka ziemi, prowadził życie hulaszczę, żywiąc się przytem przeważnie po cudzych domach, a w chwili śmierci znaleziono przy nim przeszło sto tysięcy gotówki. Z tem wszystkiem słynął on w okolicy, jako zupełnie zwaryowany półgłówek, trzeba tu jednak dodać, że większej części swych szaleństw dokonał niezmiernie rozumnie i chytrze, a narwanie jego miało pewne specjalne, czysto narodowe cechy. Fedor Pawłowicz był dwa razy żonaty. Z pierwszego małżeństwa miał jednego syna, Dymitra,

z drugiego dwóch: Iwana i Aleksego. Pierwsza jego żona pochodziła z zamożnej i bardzo znanej w okolicy szlacheckiej rodziny Mjusowów, którzy posiadali znaczne dobra. Jakim sposobem dziewczyna posażna, piękna, a przytem, jak na owe czasy, niepospolicie wykształcona, mogła wyjść za mąż za takiego marnego półgłówka, jakim był Karamazow, tego nie silę się wyjaśnić. Sam jednak znałem pannę z przeszłego „romantycznego” pokolenia, która żywiła przez lat kilka zagadkową miłość do pewnego jegomościa, za którego zresztą wyjść mogła każdej chwili najspokojniej w świecie. Mimo to, potrafiła sobie znaleźć tysiące urojonych przeszkód i przeciwności, które zniewoliły ją do rzucenia się ze szczytu stromej i wysokiej skały w głąb bystrej i głębokiej rzeki, gdzie też istotnie utonęła, jedynie tylko dlatego, aby się stać podobną do szekspirowskiej Ofelji. I to tak dalece, że gdyby w tym miejscu zamiast pięknej, malowniczej i wysokiej skały znajdował się zwykły, płaski, prozaiczny brzeg, samobójstwo to nie nastąpiłoby z pewnością. Fakt to jest autentyczny, a nie należy zapominać, że zaszło u nas niemało podobnych w ciągu trzech ostatnich pokoleń. Postępek Adelaidy Mjusow należał do tejże kategorii zjawisk, a popełniła go niezawodnie pod wpływem owych nieuchwytnych, obcych wpływów i rozprężenia myśli.

Czy chciała w ten sposób zaznaczyć kobiecą swą samodzielność, idąc wbrew panującym przesądom i despotycznym zachciankom rodziny? Czy usłużna wyobraźnia zrobiła w jej oczach Fedora Pawłowicza śmiałym szydercą i dzielnym szermierzem tej nowej, prowadzącej do wszelkiego dobra epoki? podczas gdy był to tylko lichy pajac, podszyty pieczeniarem. Dość, że została jego żoną; a co było najciekawsze, że musiał ją Fedor Pawłowicz wykraść, czem ją najmocniej zadowolnił.

Fedor Karamazow, którego stanowisko towarzyskie było jeszcze wówczas bardzo skromne, gotów był na wszelkie kawały, byleby zrobić karierę. Spokrewnienie się z arystokratyczną rodziną, a przytem zdobycie posagu, było, oczywiście, rzeczą bardzo dla niego nęcącą, co się tyczy jednak wzajemnej miłości, nie było jej prawdopodobnie z żadnej strony. Adelaida Iwanowna, mimo swej piękności, nie wzbudziła wcale głębszych namiętności w sercu swego męża, a był to jedyny wypadek w życiu tego człowieka, oddanego namiętnościom prawie wyłącznie miłosnym, który gonił ochoczo za każdą napotkaną spódniczką. Ta jedna tylko wśród wszystkich innych nie wywierała na niego żadnego wrażenia.

Adelaida Iwanowna zdała sobie sprawę bardzo prędko po ślubie, że dla męża swego odczuwa tylko pogardę. Naturalnie, skutki tego wzajemnego stosunku dały

się uczuć z błyskawiczną szybkością. Rodzina pani Karamazow dała się bardzo prędko przebłagać i oddała jej cały należny jej posag, mimo to, stosunki między małżonkami stały się bardzo burzliwe i rozpoczęły się nieustające sceny. Opowiadano, że w sporach tych młoda małżonka okazała daleko więcej godności i szlachetności, niż mąż, który, jak się później pokazało, wyłudził od niej od razu cały jej kapitał, wynoszący 25,000 rubli, a następnie usiłował przejąć w posiadanie, za pomocą podrobionego aktu kupna, wioskę jej i dom w mieście, stanowiący jej spadek po rodzicach. Byłoby mu się to, zapewne, udało, dzięki, poprostu, uczuciu wstrętu i pogardy, jakie budził w swojej żonie, która zgodziłaby się na wszystko, byle się go móżdż pozbyć; na szczęście jednak, rodzina jej wdała się w to i powściągnęła jego chciwość. Opowiadano także, że przychodziło nawet do zniewagi czynnej, że jednak biła tu przedewszystkiem małżonka, dama odważna, prędką, gorącego temperamentu, a przytem obdarzona niepospolitą siłą fizyczną. W końcu Adelaida Iwanowna rzuciła dom i męża, i uciekła z ubogim nauczycielem seminaryum, pochodzącym z niższych warstw ludności, zostawiając synka Dymitra.

Natychmiast po jej wyjeździe, Karamazow zaprowadził u siebie rodzaj haremu, zapijając się przytem bez pamięci, w antraktach zaś jeździł po całej prawie okolicy, skarżąc się, ze łzami w oczach, na żonę każdemu, kto chciał tych skarg słuchać.

Przy tej sposobności opowiadał on o żonie swojej szczegóły, o jakich każdy inny mąż nie wspominałby nawet sam przed sobą bez uczucia wstydu. — W ogóle sprawiało mu, zda się, dziwną przyjemność odgrywać przed każdym śmieszna rolę zdradzonego męża, popisując się prawie swoją krzywdą, to też żartownisie mówili mu. — „Wyglądacie, Fedorze Pawłowiczu, jakbyście dostąpili wyższej rangi, takie zadowolenie bije od was pomimo waszych strapień”. — Niektórzy utrzymywali, że Karamazow udaje tylko nieświadomość, zdając sobie wybornie sprawę ze śmiesznej strony swego położenia, któż jednak wiedzieć może, czy nie było w tem i rzeczywistej naiwności. — W końcu udało mu się natrafić na ślad zbiegłej swej małżonki. Biedaczka przebywała w Petersburgu wraz ze swym seminarzystą, i zaczynała właśnie puszczać się na pełne fale emancypacyi. — Fedor Pawłowicz zakłopotał się tem cokolwiek i zaczął nawet wybierać się do Petersburga, nie wiedząc właściwie, dlaczego? i pogo? Możeby nawet rzeczywiście tam pojechał, gdyby nie to, że powziąwszy takie postanowienie, uczuł się w obowiązku dodać sobie animuszu przed drogą na swój zwykły sposób, t. j. oddając się bezprzykładnej pijatyce.

Tymczasem rodzina jego żony otrzymała wiadomość o jej śmierci. Umrzeć miała gdzieś na poddaszu z tyfusu. W chwili otrzymania tej wiadomości, Fedor Pawłowicz był zupełnie pijany. Opowiadano o nim, że wybiegł wówczas na ulicę z wzniesionymi do góry rękami, krzycząc na cały głos z radością: „Jestem wolny”. Inni utrzymywali, że płakał, jak małe dziecko, aż żal było patrzeć na niego, mimo wszystkich jego wad. — Bardzo być może, że jedno i drugie było prawdą. Cieszył się, prawdopodobnie, swoim oswobodzeniem i opłakiwał jednocześnie tę, która oswobodziła go swą śmiercią. — W znacznej ilości wypadków ludzie, nawet źli, znajdują więcej w sobie prostoduszności i dobroci, niżbyśmy mogli przypuszczać, a zauważyć to możemy i sami na sobie.

II.

Łatwo sobie wyobrazić, jakiego rodzaju ojcem i wychowawcą mógł być taki człowiek. — W stosunku jego do syna stało się to, co się stać musiało, t. j. zaniedbał go całkowicie. Nie była to bynajmniej jakaś uraza mężowska do dziecka Adelaidy Iwanownej, poprostu — zapomniał o niem najzupełniej.

Podczas gdy Fedor Pawłowicz zanudzał wszystkich dokoła łzami swemi i skargami, zamieniając jednocześnie dom swój w gniazdo rozpusty, trzyletni Mitia znalazł opiekuna w osobie Grigora, wiernego sługi tegoż domu. Gdyby nie on, niktby nawet nie pomyślał o zmienieniu chłopcu koszulki. W pierwszych bowiem czasach rodzina matki zapomniała również zupełnie o dzieciaku. Dziad jego, a ojciec Adelaidy, Iwanowicz, nie żył już wtedy, babka była ciężko chora, a ciotki powychodziły za męż. Cały więc rok pędził mały Mitia w czeladnej izbie pod opieką Grigora. Gdyby nawet tatuś przypomniał był sobie o nim (a trudno przypuszczać, żeby nie wiedział o jego istnieniu), to i tak odesłałby go niezawodnie napowrót do czeladnej, bo obecność dzieciaka zawadzałaby mu tylko w rozpustnych jego hulankach. Aż naraz przybył z Paryża stryjeczny brat zmarłej Adelajdy Iwanowej, Piotr Aleksandrowicz Mjusow. Był to wówczas zupełnie jeszcze młody człowiek, osobliwy typ między Mjusowemi, oświecony, gładki, w całym znaczeniu tego słowa „Europejczyk”, który z czasem miał się przedzieźgnąć w liberała w stylu epoki pomiędzy 1840 a 50. Mieszkał on później długie jeszcze lata za granicą, stykał się z wybitnymi przedstawicielami kierunków liberalnych, jak Bakunin, Proudhom i t.

p. — lubił też na starość opowiadać o trzydniowej rewolucji lutowej z roku 1848, dając do zrozumienia, że brał w niej czynny udział, omal nawet nie walczył na barykadach.

Posiadał własny majątek ziemski, coś około tysiąca dusz. Posiadłość ta, leżąca tuż obok miasta, graniczyła też z gruntami miejscowego klasztoru, z którym Mjusow prowadził odwieczny proces o prawo rybołówstwa czy też używania lasu.

Proces ten rozpoczął on zaraz po objęciu spadku, uważając za swój obywatelski obowiązek człowieka oświeconego, napsuć trochę krwi klerykałom.

Dowiedziawszy się o losie kuzynki swej, Adelaidy Iwanowny, którą znał i podziwiał w swoim czasie, postanowił zająć się pozostałym po niej sierotą. Wówczas, nie zważając na młode swoje lata i przewyciężając wstręt, jaki w nim budził Fedor Pawłowicz, zawarł z nim znajomość i oznajmił mu wprost, że pragnie zająć się wychowaniem małego Miti. Opowiadał później, że skoro zapytał Karamazowa o Mitę, ten wyglądał przez dłuższy czas tak, jakby zupełnie nie rozumiał, o jakie to dziecko chodzi. Robił nawet wrażenie człowieka mocno zdziwionego myślą, że ma gdzieś wogóle w domu jakiegoś synka. Choćby nawet było trochę przesady w tem opowiadaniu Mjusowa, to w każdym razie było ono bardzo charakterystyczne dla Fedora Pawłowicza, który bardzo chętnie przybierał przed ludźmi najrozmaitsze pozy i to zwykle niekorzystne dla siebie, a raczej uwłaczające. Jest to zresztą rys wspólny wielu ludziom o wiele rozumniejszym od naszego bohatera. Piotr Aleksandrowicz Mjusow zabrał się energicznie do dziecka, i uzyskał to, że mianowano go współopiekunem Miti, ze względu na spadek jego po matce. Prócz tego, malec zamieszkał u nowo poznanego wujaszka. Nie trwało to jednak długo, gdyż Mjusow, uporządkowawszy własne interesy finansowe, zapragnął znów wrócić do Paryża, wyjeżdżając zaś, powierzył małego Mitę opiece jednej ze swych stryjecznych ciotek, mieszkającej w Moskwie. Nadeszła tymczasem sławna rewolucja lutowa, która tak dalece pochłonęła uwagę Mjusowa, że i on z kolei zapomniał o swoim wychowawcu, który po śmierci moskiewskiej swej opiekunki przechodził z rąk do rąk, i zmienił jeszcze trzy czy cztery razy miejsce pobytu.

Dymitr Fedorowicz rósł w przekonaniu, że gdy z czasem dojdzie do pełnoletności, otrzyma spadek po matce, i będzie majątkowo zabezpieczony. Lata dziecinne i młodość upłynęły mu bardzo nieporządnie. Nie skończył gimnazjum, bawił jakiś czas w szkole wojskowej, dosługiwał się stopni na Kaukazie, stracił je skutkiem pojedynków, odzyskał nanowo, hulał wiele, stracił, stosunkowo, dużo

pieniędzy. Doszedłszy do pełnoletności, otrzymywał małe zasiłki od Fedora Pawłowicza, przedtem zaś ratował się zaciąganiem długów. Dymitr Fedorowicz odnowił znajomość ze swym ojcem dopiero po dojściu do pełnoletności. Fedor Pawłowicz nie podobał mu się wcale, bawił też u niego krótko i odjechał, otrzymawszy niewielką kwotę pieniędzy i nieokreślone obietnice na przyszłość. Należy tu zaznaczyć, że młody Karamazow nie zdołał wydobyć od ojca żadnych dokładnych wiadomości ani o wartości swego spadku po matce, ani też o ilości dochodów z niego. Fedor Pawłowicz zauważył odrazu, że syn jego ma zbyt wygórowane pojęcie o swym majątku, że jednak jest to przytem chłopak lekkomyślny, gwałtowny, niecierpliwy, hulaka, którego łatwo będzie zaspokajać drobnymi datkami, udzielanymi mu co pewien czas. Tak też postępował z nim przez całe cztery lata, aż wreszcie Dymitr stracił cierpliwość i przyjechał znów do ojca, chcąc już ostatecznie załatwić swoje dziedzictwo. Wówczas Fedor Pawłowicz oznajmił synowi, że wypłacił mu już wszystko, co mu się należało, i że, kto wie nawet, czy nie dał mu znacznie więcej, z czego wynika, że teraz — właściwie on jest dłużnikiem ojca. W dodatku przedstawił mu rozmaite dokumenty, które dowodziły, że skutkiem rozmaitych finansowych spekulacji, w których sam chciał brać udział, niema już prawa upominać się o nic!

Wiadomość ta wprowadziła młodzieńca w osłupienie. Podejrzewał ojca o kłamstwo i oszustwo, i wpadł nareszcie w stan nerwowego rozdrażnienia, graniczącego z szałem. Takie to okoliczności doprowadziły w końcu do katastrofy, której przebieg stanowi treść, a raczej zewnętrzną stronę niniejszego opowiadania. Zanim jednak przejdziemy do tego przedmiotu, należy nam zaznajomić się jeszcze z młodszymi synami Fedora Karamazow.

III.

SYNOWIE Z DRUGIEGO MAŁŻEŃSTWA.

Pozbywszy się opieki nad czteroletnim Mitią, Fedor Pawłowicz ożenił się

wkrótce. Pożycie jego z drugą żoną trwało lat osiem.

Druga ta jego żona pochodziła z odległej stolicy, do której Fedor Pawłowicz zajechał w sprawie niezbyt czystych interesów, których dokonywał na wspólnie z jednym żydkiem. Pomimo hulaszczego życia, pijaństwa i rozpusty, Fedor Karamazow nie zaniedbywał nigdy swoich pieniężnych interesów, i powiększał nieustannie swój kapitał, za pomocą dość podłego gatunku spekulacji, które mu się jednak zawsze wybornie udawały. Druga żona Fedora Pawłowicza nazywała się Zofia Iwanowna. Była to bezdomna sierota, przygarnięta z litości przez starą, bogatą i bardzo arbitralną damę, wdowę po generale Worochow. Stara generałowa była jednocześnie wychowawczynią, opiekunką i dręczycielką sieroty. Nie znam bliższych szczegółów wzajemnego ich stosunku, opowiadano mi tylko, że tę łagodną, naiwną i dziwnie pozbawioną zawziętości dziewczeczkę, odcięto raz ze sznurka, na którym się powiesiła w jakiejś komórce. W takich to warunkach zjawiał się Fedor Pawłowicz, i oświadczył się o rękę Zofii. Zasięgnięto o nim informacji i pokazano mu drzwi. Wówczas zaproponował on znów sierotce wykradzenie; być może, że, mimo wszystko, nie zgodziłaby się na to małżeństwo, gdyby znała cokolwiek przeszłość Karamazowa, ale co mogła rozumieć taka młoda, niedoświadczona dziewczynka, która wiedziała tylko, że lepiej utopić się, niż pozostawać dłużej w domu dotychczasowej opiekunki.

Tym razem Fedor Pawłowicz nie wziął żadnego posagu po żonie, bo generałowa, srodze zagniewana, nie dała nic wychowance, a w dodatku przeklęła ich oboje. Nie był to jednak dla niego zawód, gdyż w tym wypadku nie liczył istotnie na zysk, a olśniony został poprostu nadzwyczajną pięknnością dziewczynki, a zwłaszcza niewinnym wyrazem jej wejrzenia, które spiorunowało niemal tego rozpustnika, rozmiłowanego dotąd przeważnie w grubszego rodzaju kobiecej piękności.

„Mnie te oczka niewinne drasnęły jak brzytwą po duszy” — mawiał później, chichocząc po swojemu.

Nie wzięwszy nic po żonie, nie robił sobie też z nią Fedor Karamazow żadnych ceremonii, a opierając się na tem, że jest właściwie jej wybawcą, który ją uratował od stryczka, podeptał odrazu najelementarniejsze zasady przyzwoitości małżeńskiej, a napełniwszy dom swój kobietami lichego prowadzenia, zaczął wyprawiać w oczach żony najwstrętniejsze orgie. Charakterystycznym jest, że stary sługa, Grigor, który niecierpiał pierwszej swej pani, Adelaidy Iwanowny, tu stanął odrazu po stronie młodej małżonki i występował w jej obronie z niezwykłą, jak na służącego, śmiałością. Dość powiedzieć, że rozpędził raz

przemocą zgromadzoną w domu bezwstydną tłuszcę, udaremniając w ten sposób przysposobioną przez pana swego orgię. Mimo to, nieszczęsna kobieta, dręczona i wystraszona przez całe życie, dostała wkrótce nerwowej choroby, bardzo rozpowszechnionej wśród kobiet z ludu Rosyi i podlegać zaczęła strasznym atakom histerycznym, przy których traciła niekiedy przytomność. W tych warunkach została jednak matką dwóch synów. Starszy, Iwan, urodził się w pierwszym roku jej małżeństwa, młodszy, Aleksy, we trzy lata później. W chwili śmierci matki, Aleksy miał zaledwie cztery lata, mimo to, zapamiętał ją na całe życie, jak przez sen, oczywiście. Po śmierci Zofii Iwanowny los jej synów był słowo w słowo taki sam, jak poprzednio pierworodnego Miti. Ojciec zapomniał o nich najzupełniej, dostali się więc do izby Grigora i pod jego opiekę. Tam też odszukała ich arbitralna generałowa, opiekunka i dobrodziejka ich matki. Przez całe 8 lat niezapomniała urazy, wyrządzonej sobie niegdyś przez Zofię, a słysząc o nieszczęśliwym pożyciu dawnej swej wychowanki, zwykła powtarzać swoim domownikom, że sierota sama sobie taki los zgotowała i że Pan Bóg karze ją słusznie za jej niewdzięczność. W trzy miesiące po śmierci młodej kobiety, generałowa ukazała w mieście, w którym mieszkał Fedor Pawłowicz, i udała się wprost do jego mieszkania. Zabawiła nie dłużej nad pół godziny, ale dokonała wiele. Wieczór już był wówczas, Fedor Pawłowicz, który od ośmiu lat nie widział generałowej, wyszedł na jej spotkanie zupełnie pijany. Opowiadano, że bezwzględna staruszka wycięła mu bez żadnych wstępów dwa siarczyste policzki, wytargała za włosy i, nie przemówiwszy ani słowa, poszła prosto do izby Grigora. Zauważywszy odrazu, że dzieci są nieumyte i w brudnej bieliźnie, poczęstowała też policzkiem Grigora, wyprowadziła dzieci, a owinąwszy je w pled, posadziła do karety, i zawiozła do siebie. Grigor zniósł otrzymany policzek z uległością niewolnika. Wyprowadził starą jejmość do karety, pokłonił się jej w pas i oddał dzieci z przekonaniem, że „Bóg zapłaci jej za sieroty.”

— Byłeś i jesteś wałkoń! — krzyknęła mu generałowa w odpowiedzi i odjechała z dziećmi.

Fedor Pawłowicz zdał sobie sprawę z tego, co zaszło; doszedł on do przekonania, że wszystko stało się jaknajlepiej i nigdy ani jednym słowem nie protestował przeciw wychowaniu dzieci swoich w domu generałowej. O wymierzonych sobie policzkach opowiadał sam bardzo chętnie po całym mieście.

Wkrótce potem generałowa umarła, zapisując każdemu z malców po tysiąc rubli na ich wychowanie (pisała w swoim testamencie). „Pieniądze te powinny

wystarczyć do ich pełnoletności, bo to i tak aż nadto dla takich dzieci; gdyby zresztą ktoś mniemał, że to za mało, niech da więcej” i t. d.

Na szczęście, głównym spadkobiercą generałowej został bardzo porządny i uczciwy człowiek, miejscowy marszałek szlachty, Jefim Piotrowicz Poljenow. — Próbował on z początku porozumieć się z Fedorem Pawłowiczem, ale spostrzegł odrazu, że jest to człowiek, od którego nie wyciągnie ani grosza na wychowanie dzieci, jakkolwiek ten nigdy wprost nie odmawiał i rozplýwał się wciąż w czułościach.

Wobec tego, Jefim Piotrowicz sam zajął się losem sierot, a zwłaszcza pokochał młodszego, Aleksego, który wychowywał się w jego rodzinie. Opiekun młodych Karamazowów był jednym z najlepszych i najszlachetniejszych ludzi, jakich się rzadko w świecie spotyka. Nie tknął ani grosza z pieniędzy, zapisanych chłopcom przez generałową, tak, że kapitałik ów podwoił się do czasu ich pełnoletności, i sam łożył na ich wychowanie.

Nie wdając się w szczegóły dzieciństwa ich i młodości, opowiem je tylko w krótkich zarysach. Starszy, Iwan, rósł jako ponury, zamknięty w sobie chłopak, który już w dziesięciu latach życia zrozumiał, że wychowuje się u obcych i na ich łasce, i że ojciec jego jest człowiekiem, o którym wstyd wspominać. Od dzieciństwa okazywał on nadzwyczajne, podobno, zdolności do nauk. W trzynastym roku życia opiekun Iwana oddał go do gimnazjum w Moskwie, i nie zatrzymując go dłużej w swojej rodzinie, umieścił go u wybitnego pedagoga, przyjaciela z lat dziecinnych. Stało się to, jak opowiadał później sam Iwan, dzięki „namiętności robienia dobrze”, która była najistotniejszą treścią życia Poljenowa. Uważa on, że genialnymi zdolnościami chłopca kierować też powinien genialny wychowawca. Zanim jednak Iwan ukończył gimnazjum, równie opiekun jego, jak i genialny wychowawca, rozstali się już z życiem.

Jefim Piotrowicz Poljenow zaniedbał był niektórych formalności, dotyczących kapitałiku zapisanego jego wychowañcom przez arbitralną generałową, skutkiem czego po jego śmierci Iwan znalazł się w bardzo trudnym położeniu i przez pierwsze dwa lata studyów uniwersyteckich zarabiać musiał na siebie. Nie zwrócił się ani razu do ojca z prośbą o pomoc, nie wiadomo, czy przez dumę i pogardę dla niego, czy też przez zdrowy zmysł krytyczny, który mu wskazywał, że od takiego ojca nic się spodziewać nie może.

Mimo to, młodzieniec dał sobie radę, z początku udzielając lekcyi po 30 kop. za godzinę, i biegając po redakcyach, gdzie powierzano mu drobne

dziesięciowerszowe notatki z wiadomości ulicznych, zaopatrzone podpisem „Świadek”. Notatki te były tak dowcipnie i ciekawie redagowane, że bardzo prędko zrobiły sławę swemu autotorowi, który już tem jednym wyróżnił się odrazu z całego tłumu kolegów swych i koleżanek, oblegających od rana do nocy wszystkie redakcje, dla ofiarowania swych wierszy i przekładów z francuzkiego.

Zawiązawszy raz stosunki z redakcjami pism, utrzymywał je Iwan Fedorowicz przez cały ciąg pobytu na uniwersytecie. W ostatnich czasach zaczął pisywać sprawozdania z dzieł naukowych, które zwróciły na niego uwagę specjalistów.

A wreszcie, w chwili ukończenia studyów, udało mu się napisać artykuł, który dał go poznać szerszym kołom czytającej publiczności. Za temat posłużyła mu sprawa trybunałów duchownych, będąca wówczas niezmiernie na czasie i zajmująca wszystkie umysły. Artykuł wydrukowany został w jednym z większych dzienników stołecznych i wywołał ogromne wrażenie. Ciekawy był, mianowicie, ton, jakim autor traktował swój przedmiot, i całkiem niespodziewane wnioski, jakie wyprowadził w końcu.

Zdawszy sprawę z rozmaitych poglądów na roztrząsaną przez siebie kwestyę, zaznaczył wreszcie własne stanowisko, a uczynił to w taki sposób, że z jednej strony ludzie zapatrywań klerykalnych uznali go za swego, z drugiej zaś, nie tylko postępowi, ale nawet skrajni ateści, przyklasnęli mu również gorąco. Znalazła się wreszcie garstka ludzi domyślnych, utrzymujących, że autor grubo sobie zażartował z czytelników, w każdym razie zdobył sobie jednym zamachem sławę, która dotarła nawet do rodzinnego jego miasta. Miejskowa inteligencya przypomniała sobie, że Iwan urodził się wśród niej i nie mogła się dość nadziwić, że jest on synem tego oto osławionego Fedora Pawłowicza.

W tym właśnie czasie Iwan przyjechał do ojca. Przyjazd ten był dla wielu zagadką. I w samej rzeczy, trudno było pojąć, jak może taki uczony, dumny i ambitny młodzieniec, nawiązywać stosunki z takim ojcem, który go całe życie zaniedbywał, nie troszczył się o niego, nie pamiętał o nim, a i dziś w żadnym razie nie przyszedłby mu z pomocą.

Tymczasem młody Karamazow zamieszkał w domu ojca; mimo fatalnej jego reputacyi, zgodził się z nim wybornie, a nawet zaczynał wywierać na niego pewien dodatni wpływ. Dziwiono się temu powszechnie, najbardziej zaś dobitnie wypowiadał zdumienie swoje Mjusow, dawny opiekun Dymitra, który właśnie w tym czasie przyjechał z Paryża, i natychmiast zawarł znajomość z interesującym kuzynem. „Chłopak ma ambicyę, — mawiał o nim — umie sobie

radzić, posiada zresztą własny kapitałik na wyjazd za granicę, nie przyjechał więc po pieniądze. Zapijać się wódką nie potrafi, rozpustnych hulanek nie lubi. Cóż więc trzymać go może w tej norze?" Tymczasem najwidoczniej stary polubił go, a nawet obejść się bez niego nie mógł. Znacznie później dopiero pokazało się, że Iwan Fedorowicz przyjechał tu w sprawie brata swego, Dymitra, który prosił go o to listownie, zanim jeszcze Iwan wyjechał z Moskwy.

Bracia nie znali się dotąd wcale i zobaczyli się teraz poraz pierwszy. Wkrótce Iwan wziął na siebie rolę pośrednika pomiędzy ojcem, a Dymitrem, usiłując załagodzić powstałe między nimi zatargi, które właśnie wówczas zaostrzyły się bardzo. Mimo to wszystko, postać Iwana i jego postęпки miały zawsze w sobie coś zagadkowego. W ten sposób cała rodzina Karamazowych zjechała się i poznała z sobą po raz pierwszy, bo i najmłodszy syn, Aleksy, znajdował się już od roku w miejscowym klasztorze, gdzie odbywał nowicyat. Miał on zamiar poświęcić się życiu zakonnemu i przygotowywał się do tego z wielkim skupieniem.

IV.

NAJMŁODSZY SYN ALOSZA.

Alosza miał wówczas lat 20. Mimo, że zamierzał poświęcić się życiu zakonnemu, nie był to bynajmniej fanatyk ani nawet mistyk. Określićby go można raczej jako urodzonego altruistę. Jeżeli obrał sobie drogę zakonną, to dlatego tylko, że uważał ją wówczas za jedyną, na której mógł urzeczywistnić swój ideał wyzwolenia z mrocznych ciemności ziemskiego zła duszy swej, rwącej się ku światłu i miłości. Drugą przyczyną, która wpłynęła na jego postanowienie, było spotkanie na owej drodze nadzwyczajnego człowieka, jakim był w jego oczach świętobliwy starzec Zosima, mieszkający w miejscowym klasztorze. Do starca tego przywiązał się młody Alosza całymi siłami swego gorącego i nienasyconego serca. Był to zresztą wogóle niezwykły chłopak. W chwili śmierci matki miał on dopiero czwarty rok, mimo to, zapamiętał ją sobie na całe życie. Wspomnienia te

występowały w jego wyobraźni tak wyraźnie, jak głoski ogniste, wyrzeźbione na ciemnym tle, lub jasny punkt wielkiego jakiegoś obrazu, gubiącego się zresztą w ciemnym półmroku. Pamiętał mianowicie jeden moment ze swego dzieciństwa. Cichy letni wieczór i promienie zachodzącego słońca, wpadające ukośnie przez otwarte okno do wnętrza pokoju, gdzie w kącie paliła się lampka przed obrazem Matki Boskiej. Przed tym obrazem klęczała młoda kobieta, zanosząc się od żalostnego łkania i wyrzucając z siebie rozpaczliwe okrzyki. Kobieta trzymała go w objęciach i przyciskała namiętnie do piersi, tak silnie, że prawie ból mu zadając, to znów podsuwała go niejako w stronę obrazu, modląc się za niego i wzywając dla niego opieki Madonny. W tej chwili wbiegła zastraszona piastunka i wyrwała go z rąk matki. Taki to obraz zapamiętał sobie Alosza, dodając przytem, że, o ile sobie przypomina, twarz matki jego była przedziwnie piękna, mimo, że w owej chwili miała wyraz nawpół obłąkany.

Opowiadał zresztą o tem niechętnie.

W dzieciństwie i młodości był to chłopak mało wywnętrzający się i małomówny. Pochodziło to jednak z pewnego rodzaju wewnętrznej zadumy, która go tak pochłaniała, że zapominał prawie wobec niej o istnieniu zewnętrznych wypadków. Mimo to, nie stronił on wcale od ludzi, kochał ich, wierzył im przez całe życie, a przecież nikomu nie przyszło na myśl uważać go za prostodusznego lub naiwnego.

Było w nim coś, co budziło w obcujących z nim przekonanie, że człowiek ten nie przyzna sobie nigdy prawa sądenia ich postępków nieprzychylnie, i gorszenia się nimi.

Widocznem było, że to mu nigdy na myśl nie przyjdzie. Zdawało się, że zdolny jest darować wszystko, i że nie potępi bezwzględnie nic, choćby sam najgłębszego doznał zmartwienia. Od wczesnej młodości doszedł pod tym względem do takiego zrównoważenia, że nikt i nic nie było w stanie zadziwić go lub zastraszyć. Mając lat dwadzieścia przybył do ojca, którego dom był, jak wiadomo, gniazdem najwstrętniejszej rozpusty. Otóż tam, on, natura wyższa i czysta, bywał niekiedy świadkiem scen, których widoku zupełnie nie mógł przenieść, wówczas oddalał się tylko w milczeniu, nie zdradzając przytem najmniejszego zgorszenia, lub uczucia pogardy dla kogobądź. Ojciec jego, który jako dawny bywalec, miał węch do ludzi i był po swojemu mocno drażliwy, przyjął go początkowo z niedowierzaniem i obserwował niechętnie. (Milczy, bo milczy, myślał o nim, ale wszystko na węs mota). Po dwóch tygodniach jednak znajomości nabrał do niego takiej sympatii,

że brał go co chwila w objęcia i całował, po pijanemu, co prawda, ale z nieudaną czułością, a z czasem pokochał go tak serdecznie i głęboko, jak jeszcze nikogo.

Już to chłopaka tego kochali wszyscy, z którymi się stykał. Jeszcze w dzieciństwie, gdy umieszczono go w rodzinie opiekuna jego i, wychowawcy, Jefima Poljenowa, zjednał sobie bardzo prędko ogólne przywiązanie, tak, że kochano go tam i obchodzono się jak z najbliższym krewnym. Był zaś jeszcze wówczas takim dzieckiem, że nie można go było w żaden sposób posądzać o wyrachowaną przebiegłość i z góry obmyślany zamiar zaskarżenia sobie względów swego otoczenia. Dar zdobywania sobie miłości ludzkiej był u niego czymś wrodzonym i oddziaływał na innych bezwiednie i bezpośrednio. To samo było w szkole. Zdawałoby się, że z tego rodzaju usposobieniem mógł się narazić na niechęć kolegów, a przynajmniej stać się celem żartów i pośmiewiska. Chętnie np. odosabniał się, oddając się ulubionym swym zadumom, lub też uciekał gdzieś do kąta z książką. Tymczasem przez cały czas pobytu w szkole kochany był przez wszystkich i uchodził za ulubieńca kolegów. Rzadko bardzo brał udział w swawolach towarzyszy, rzadko nawet bywał wesoły, ale odrazu można było poznać, że nie płynie to u niego z jakiejś wrodzonej posępności, przeciwnie, usposobienie miał pogodne i równe. Nigdy nie starał się wykazać wyższości swej nad kolegami, a przytem nie bał się nikogo i niczego. Dlatego też malcy zdawali sobie wybornie sprawę, że zalety te są w nim tak dalece wrodzone, że nie przyjdzie mu na myśl pysznić się niemi, a postępuje raczej tak, jakby wcale o nich nie wiedział.

Nie był przytem wcale zawzięty i zapominał szybko urazy. Zdarzało się też nieraz, że w godzinę po jakimś nieporozumieniu rozmawiał tak pogodnie i uprzejmie z tym, który go obraził, jakby nic nigdy między nimi nie zaszło. A robił to nie dlatego, aby szybko przebaczał i darowywał, a raczej ponieważ właściwie nie uznawał się za obrażonego, co też najkorzystniej wpływało na przeciwników.

Jeden tylko rys charakteru Aloszy nadawał się, zdaniem jego spółuczniów, do żartów i śmiechów z niego, i to od najniższych do najwyższych klas gimnazjalnych. Rysem tym była jego bezgraniczna, niemal dzika wstydlivość. Nie znosił on zupełnie pewnego rodzaju słów, wyrażeń i rozmów o kobietach. Na nieszczęście, tego rodzaju właśnie wyrażenia i rozmowy są aż nadto rozpowszechnione w naszych szkołach. Wyrostki, prawie jeszcze dzieci, czyste nawet i niewinne w duszy i w sercu, lubują się często w takich rozmowach i opowiadaniach, jakichby nie powstydział się najrozpasańszy żołdak. Co więcej,

dzieci z naszego, tak zwanego, wyższego, inteligentnego towarzystwa — wiedzą o wielu rzeczach i szczegółach, o jakich nie śniłoby się owym żołdakom. Nie jest to w nich rozpustą, ani nawet istotnym wewnętrznym cynizmem, jakkolwiek ma wszelkie tego pozory, ale faktem jest, że dorastające chłopaki znajdują w takich rozmowach dziwne upodobanie, jakby jakiś smaczek delikatny i bardzo dla nich pociągający. Spostrzegłszy, że Alosza Karamazow zatyka sobie uszy, ilekroć o tem zaczyna być mowa, chłopcy otaczali go umyślnie, odrywali mu przemocą ręce i krzyczeli mu umyślnie nad uchem największe obrzydliwości. Wówczas wyrwał się im rozpaczliwie i rzucał się na ziemię, zakrywając się, o ile możliwości i, nie wypowiadając ani jednego gniewnego słowa, znosił w milczeniu obrazę. W końcu zostawiono go u spokoju i przestano nawet przezywać go dziewczynką, tylko zapatrywano się na niego z pewnem politowaniem. Co się tyczy naak, należał on zwykle do lepszych uczniów, nie był jednak nigdy pierwszym.

Po śmierci Jefima Poljenowa, żona jego i cała rodzina, składająca się wyłącznie z kobiet, wyjechała na dłuższy czas do Włoch. Alosza, który był jeszcze wówczas w gimnazyum, dostał się wtedy do domu dwóch dalekich kuzynek Poljenowa, których przedtem nie znał, i pozostawał już u nich, nie wiedząc zupełnie, na jakich się to dzieje warunkach.

Charakterystycznym także rysem jego usposobienia było, że się nigdy nie zatroszczył, z czego i czym kosztem żyje? Pod tym względem był on zupełnem przeciwieństwem starszego swego brata, Iwana, który od dzieciństwa bolał niezmiernie nad tem, że żyje niejako na łasce swego dobroczyńcy i starał się jaknajprędzej stanąć o własnych siłach. Nie można jednak było z tego powodu sądzić Aloszę zwykłą miarą, t. j. posądzać go o brak godności, bo każdy, kto go bliżej poznał, nabierał przekonania, że gdyby chłopcu temu dać na własność największy kapitał, rozdałby go niezawodnie na dobre uczynki, a może nawet oddałby go pierwszemu lepszemu oszustowi, któryby go o to poprosił. Zdawał się zupełnie nie rozumieć wartości grosza. Gdy w dzieciństwie dawano mu pieniądze na drobne przyjemności, to albo nosił je całymi tygodniami w kieszeni, nie wiedząc, co z niemi począć, lub też pozbywał się ich natychmiast, nie wiedząc zupełnie nawet, jak i na co. Krewny jego rodziny, Piotr Aleksandrowicz Mjusow, który zdawał sobie doskonale sprawę z wartości pieniędzy i był mocno drażliwy na punkcie burżuazyjnych pojęć o uczciwości, tak określał tę właściwość charakteru Aloszy: „Oto jedyny człowiek w świecie, którego można zostawić z całym spokojem zupełnie samego w środku obcego miasta, zaludnionego milionami mieszkańców, zupełnie mu nieznanomym, a można ręczyć, że nie zaginie i nie

umrze z głodu i chłodu. W jednej chwili bowiem zgłosi się do niego mnóstwo ludzi, gotowych nakarmić go i przyodziać, albo też on sam wyżywi się i przyodzieje bez żadnego wysiłku, i nie będzie w tem dla niego żadnego poniżenia, gdyż każdy poczytywać sobie będzie za przyjemność oddanie mu przysługi.”

Brakowało mu jednej już tylko klasy do ukończenia gimnazyum, gdy naraz oznajmił swoim chwilowym opiekunkom, że musi jechać do ojca dla załatwienia jednej sprawy. Damy te zmartwiły się bardzo jego wyjazdem i zatrzymywały, jak mogły.

Podróż to była niedaleka, ale Alosza nie miał na nią żadnych środków. Wówczas opiekunki jego nietylko nie pozwoliły mu zastawić na ten cel zegarka, który otrzymał w podarunku od rodziny swego byłego opiekuna, ale zaopatrzyły go o wiele hojniej, niż tego potrzebował, nie zapominając o ubraniu i bieliźnie. On jednak zwrócił im połowę pieniędzy, oświadczając, że pojedzie trzecią klasą, i udał się do rodzinnego miasta. Na zapytanie ojca, dlaczego nie kończy gimnazyum, nie odpowiedział nic prawie i był tylko niezwykle zamyślony. Po jakimś czasie dopiero pokazało się, że pragnie odszukać grób matki, i, jak sam mówił, po to właściwie przyjechał. Była w tem jednak inna jeszcze pobudka, której na razie sam sobie nie uświadamiał, ale która z nieprzepartą siłą pchała go na nową drogę życia. Fedor Pawłowicz nie mógł mu, oczywiście, wskazać mogiły jego matki, bo od czasu jej pogrzebu nie był ani razu na cmentarzu.

Tu wypada nam wspomnieć jeszcze słów parę o życiu starego Karamazowa. Po śmierci drugiej żony wydalł się on z rodzinnego miasta i przebywał dłuższy czas w Odesie. Tam, jak sam opowiadał, pozawierał liczne znajomości z różnymi „żydami, żydkami i żydziętami”, a także przyjmowany był w dornach tak zwanych „Izraelitów.” W tym to okresie życia rozwinął w sobie tę osobliwszą umiejętność zbijania i nagromadzania grosza. Gdy po kilku latach takiego życia powrócił do rodzinnego miasta, dawni jego znajomi znaleźli w nim wielkie zmiany. Przedewszystkiem postarzał się nad wiek swój, który nie był jeszcze zbyt podeszły. Następnie zachowanie się jego w towarzystwie straciło już wszelkie piętno przyzwoitości i stało się do najwyższego stopnia trywialne i aroganckie. Nieobyczajność względem kobiet, którą i dawniej uprawiał, stała się jeszcze bardziej wyuzdana. Prócz tego, założył w powiecie kilka nowych szynków, a wszyscy prawie obywatele okoliczni stali się wkrótce jego dłużnikami. Oczywiście, że kapitały swoje umieszczał tylko na pewnej hipotece. W ostatnich czasach zaczął też tracić trochę równowagę umysłu, stał się jakiś szorstki, upijał

się coraz częściej i gdyby nie Grigor, który zajmował wobec niego jakby stanowisko guwernera, naraziłby się nieraz na ciężkie nieprzyjemności.

Przyjazd Aloszy podziałał dodatnio na tego podupadającego starca. Budzić się w nim zaczęły dawno przygasłe wspomnienia.

— Wiesz ty, żeś ty bardzo do niej podobny, — mawiał do syna — do „Klikuszy” — tak nazywał swoją zmarłą żonę, z powodu nerwowej choroby, na którą cierpiała.

Grobu „Klikuszy” nie mógł jednak w żaden sposób pokazać synowi. Zrobił to dopiero stary Grigor, który, jak się pokazało ku ogólnemu zdziwieniu, sam pomyślał o pomniku i napisie. Skromne to było, ale przyzwoite. Na płycie żelaznej wypisano imię, nazwisko, wiek i datę śmierci nieboszczki, a pod spodem wyryty był czterowiersz odpowiedni, w rodzaju tych, jakie się spotyka na cmentarzach miejskich.

Alosza nie okazał na grobie matki szczególniejszego wzruszenia, wysłuchał tylko spokojnie opowiadania Grigora o sposobie, w jaki uporządkował grób biednej „Klikuszy” i odszedł, nie przemówiwszy ani słowa. Natomiast cały ten epizod wywarł całkiem niespodziewane wrażenie na Fedora Pawłowicza. Objawiło się ono w ten sposób, że zawiózł tysiąc rubli do miejscowego klasztoru, ofiarowując na mszę za duszę nie drugiej swej żony, matki Aloszy, ale pierwszej, Adelajdy Iwanowny, tej, która go biła. A był to człowiek, który przez całe swoje życie nie spełniał żadnych praktyk religijnych i z pewnością nie wydał nigdy i pięciu kopiejek na postawienie świeczki przed obrazem. Takie to niespodziewane zwroty uczuć i myśli zdarzają się często wśród ludzi.

Marne i hulaszczę życie, jakie prowadził Fedor Pawłowicz, wyryło niezatarte i charakterystyczne ślady na jego ówczesnej fizyonomii. Małe jego oczka, o bezczelnym i chytrym wyrazie, okolone były mięsistymi woreczkami; twarz, stosunkowo drobną, pokrywały głębokie zmarszczki, zbiegające się w okolicach podbródka, który zwisał nakształt podługowatej torebki pod ostro zakończoną brodą, nadając całej twarzy jakiś odrażająco lubieżny charakter. Dodajmy do tego szerokie, żarłoczne usta, o grubych, mięsistych wargach, z pomiędzy których ukazywały się czarne i połamane szczątki zębów, a będziemy mieli całkowity obraz ówczesnego wyglądu starego Karamazowa.

Żartował on sam nieraz z tej swojej twarzy, jakkolwiek zdawał się być z niej dosyć zadowolony. Pysznił się mianowicie swoim nosem, który był niewielki, cienki, a przytem z dość wydatnym garbkiem. „Prawdziwy rzymski nos — powiadał

o nim — co w połączeniu z podbródkiem stanowi wspaniały typ, typ rzymskiego patrycyusza z epoki upadku.”

Wkrótce po odnalezieniu grobu matki, Alosza oznajmił ojcu, że ma zamiar wstąpić do nowicyatu do miejscowego klasztoru, gdzie go obiecano przyjąć. Dodał przytem, że zwraca się do niego, jako do ojca, z prośbą o pozwolenie, w nadziei, że nie będzie się sprzeciwiał spełnieniu najgorętszych jego pragnień. Stary wiedział, że przebywający przy klasztorze ojciec Zosima wywarł głębokie wrażenie na jego „cichego Aloszę.”

— Ten starzec, to w samej rzeczy uczciwy mnich — przemówił Fedor Pawłowicz, wysłuchawszy w milczeniu prośby syna. — Hm, to się tobie tego zachciewa? Mój ty cichy chłopaczku, — mówił dalej, uśmiechając się tym swoim szerokim, nawpół pijanym, niepozbawionym jednak pijackiej chytrłości, uśmiechem. — Hm... Przeczuwałem ja, że ty na tem skończysz. A cóż, masz tam te swoje dwa tysiące rubelków, to i wiano gotowe. Ty się bardzo nadajesz do takiego życia, grosza tracić nie umiesz, jak kanareczek, po dwa ziarneczka na tydzień. Nie bój się, aniele miły, ja ciebie nie opuszczę i zapłacę za wpisanie ile zażądata, gdyby trzeba było. Ale jeżeli nie zażądata, to po co się napraszać? Nieprawdaż... Hm.... A wiesz ty co? znam ja jeden klasztor, co ma własny futor za miastem, gdzie mieszkają „klasztorne żonki”, tak je tam wszyscy nazywają, ze trzydzieści sztuk pewnie. Byłem tam i wiesz co, bardzo to w swoim rodzaju interesujące, dla różności. Szkoda tylko, że panuje tam rosyjski szowinizm. Francuzek np. niema wcale, a powinnyby być dla grubych ryb. Podobno jeszcze przyjadą. A tu co? Niema takiego urządzenia, niema. A mnichów sztuk ze 200. Uczciwe podobno „monachy”, posty obserwują. Ej, Alosza! żal mi ciebie. A wiesz ty co? wierz czy nie wierz, pokochałem ja ciebie... w samejrzeczy... No i przytem, ładnie, pomyślałem sobie, że będzie komu pomodlić się za grzeszną duszę. Nieraz już myślałem o tem. Miły ty chłopcze! Ty wiesz, że ja na punkcie tych waszych wszystkich nabożności, całkiem głupi jestem. Ale przecież przychodzi mi czasem na myśl, nie często rozumie się, ale czasem, że już tam dyabeł widły na duszę moją gotuje i nie może być inaczej. Dobrze myślę, widły, ale zkad one? z czego zrobione, z żelaza może? gdzież ta fabryka, w której się kuja? Ot! w klasztorze np. mnichy myślą, że piekło ma sufit, ja gotów też jestem wierzyć w piekło, ale bez sufitu, to jakoś delikatniej, kulturalniej, bardziej po protestancku; tymczasem w samej istocie rzeczy, to chyba wszystko jedno. Ot już i jest przeklęta zawiałość! Bo jeśli niema sufitu, niema i wideł, a jeśli niema wideł, czemże mnie dyabeł po śmierci zahaczy? a jeśli już takiego, jak ja, nie zahaczy, to gdzie prawda na świecie? Dla mnie jednego

należałoby wymyślić owe widły! Bo ty nie wiesz, Alosza, jaki ja bezwstydnym grzesznikiem jestem!

— Tam przecież niema widel, — cicho i poważnie odparł Alosza, przyglądając się bacznie ojcu.

— Tak, tam są tylko cienie widel, jak mówi francuski poeta: „Widziałem cień woźnicy, który miotły cieniem czyścił cienie karety”. A ty zkad, gołąbku, wiesz, że tam widel niema? Inaczej ty zaśpiewasz, jak posiedzisz w klasztorze. Idź zresztą, idź, może się dobierzesz do prawdy, wtedy wróc i opowiedz. Zawsze jakoś lżej będzie iść na tamten świat, gdy się człowiek dowie, co go tam czeka. A przyzwoiciej będzie dla ciebie żyć wśród „monachów”, niż tu ze starym pijakiem i między „kobietkami”. Tylko, że do ciebie, jak do anioła, nic nie przylgnie. I tam w klasztorze nic do ciebie nie przylgnie, ja wiem o tem, dlatego ci nie bronię tam iść. Palisz się teraz, ale się wypalisz i wrócisz do mnie, a ja czekać tu będę na ciebie, bo wiem, że ty jeden jedyny na świecie nie potępiasz mnie, chłopcze mój miły! Ja to czuję, bo jakżebym czuć tego nie miał?

Mówiąc to, rozchlipał się na dobre. Był bowiem sentymentalny. Zły, ale sentymentalny.

S T A R C Y.

Nie należy sobie wyobrażać młodego Aloszę, jako młodzieńca chorobliwego, nerwowego i wątłego fizycznie. Przeciwnie, był to wówczas chłopak rostry, zdrów, silny, o rumianych policzkach i błyszczących oczach. Był on przytem bardzo piękny i zgrabny, wzrostu trochę więcej, niż średniego, o regularnym, choć trochę wydłużonym, owalu twarzy. Włosy miał ciemno-blond, a oczy ciemno-szare, duże, szeroko otwarte, o wyrazie przeważnie zadumanym i pozornie spokojnym.

Oczywiście, rumiane policzki i zdrowy organizm nie wykluczają bynajmniej usposobienia fanatycznego i skłonności do mistycyzmu, tylko, że z Aloszą rzecz się miała przeciwnie i możnaby go raczej zcharakteryzować jako realistę.

Oczywiście, będąc w klasztorze, wierzył w cuda, tylko, że, zdaniem mojem, wiara w cuda nie sprzecza się wcale z realizmem.

Nie cuda skłaniają realistę do wiary, a przeciwnie, uznawanie możliwości cudu jest dla niego wynikiem wiary, skoro już raz uwierzył.

Realista nie wierzący, nie uznałby najoczywistszego faktu nadprzyrodzonego, któryby się stał w jego oczach i raczej niedowierzałby własnym zmysłem, niżby miał przyjąć istnienie cudu. U wierzącego zaś realisty istnienie cudu jest tylko logicznym następstwem jego wiary.

Apostoł Tomasz, który twierdził, że nie uwierzy, dokąd nie zobaczy, woła ujrzawszy: „Pan mój i Bóg mój!” Czyżby cud wywołał w nim wiarę? Chyba przeciwnie, wiara jego wywołała cud, bo w tajni serca swego wierzył już i przedtem.

Alosza był człowiekiem inteligentnym, mimo, że przerwał nauki i kończyć ich nie miał zamiaru. Wspomniałem już wyżej, że drogę zakonnego życia obrał dlatego, iż uważał ją jako jedyny sposób urzeczywistnienia swego ideału dążenia ku miłości i światłu. Był on jednym z tych młodych ostatniego pokolenia, którzy, mając naturę do gruntu uczciwą, poszukują prawdy, wierzą w nią i potrzebują jej ze wszystkich sił swojej duszy; a odnalazwszy, pragną poświęcić się dla niej jaknajprędzej i najzupełniej, chociażby oddając jej życie. Nie wiedzą, na nieszczęście, ci młodzi, że ofiara z życia jest często łatwiejszą i że poświęcenie pięciu lub sześciu lat z kipiącej życiem młodości na trud ciężki i uporczywy, dla zdobycia choćby wiedzy, potrzebnej dla popierania swojej prawdy, jest ofiarą stokroć cięższą i dla wielu niemożliwą.

Alosza wybrał swoją drogę, jak się spełnia czyn bohaterski. Skoro po głębszym i poważnym namyśle doszedł do przekonania, że istnieje Bóg i nieśmiertelność duszy, natychmiast powiedział sobie „żyć będę dla Boga i nieśmiertelności i nie przyjmę połowicznego kompromisu”.

Gdyby był, przeciwnie, doszedł do przekonania, że nie ma Boga i nieśmiertelności, to niechybnie zostałby natychmiast ateuszem i socjalistą.

Bo socjalizm, to nie tylko kwestya robotników i proletaryatu, to również, i to w najistotniejszej swej treści, kwestya ateizmu, wznoszącego wieżę Babel, oczywiście, bez Boga, nie dla wzniesienia się do niebios z ziemskiej niziny, a raczej dla obniżenia niebios do ziemskiego poziomu.

Po takim procesie wewnętrznym wydało się Aloszy niepodobieństwem żyć, jak dawniej, skoro powiedzianem jest: „Oddaj wszystko, co masz, i pójdz ze mną, jeśli chcesz być doskonałym”.

Powiedział też sobie: „Nie mogę dać dwóch rubli tam, gdzie należy oddać wszystko, ani też poprzestać na uczęszczaniu do kościoła, zamiast „Pójść za nim”.

Być może, że podziały tu wspomnienia matki, która musiała go niegdyś wozić

do klasztoru, a i promienie zachodzącego słońca, oświetlające ukośnie obraz święty, pod którego opiekę oddawała go matka, nie pozostały też bez wpływu. Przyjechał jeszcze wahający się i zadumany, ale w klasztorze spotkał świętego starca.

Wspomniawszy o starcu Zosimie, który wywarł tak przeważny wpływ na Aloszę, musimy powiedzieć tu parę słów o starcach wogóle i o stanowisku, jakie zajmują oni w rosyjskich klasztorach.

Ludzie kompetentni twierdzą, że starcy ukazali się w Rosji niedawno, bo zaledwie od stu lat, podczas gdy na wschodzie, a zwłaszcza w Małej Azji, istnieli oni już przed tysiącem lat.

W Rosji zwyczaj osiedlania się starców po klasztorach był z początku źle widziany, jako nowatorstwo i zakorzenił się w niewielu tylko miejscowościach.

Klasztor, w którym Alosza odbywał nowicyat, był właśnie jednym z tych niewielu, a mieszkający przy nim świątobliwy Zosima był już ostatnim z trzech starców, którzy tu kolejno przebywali. Był on jednak wyczerpany bardzo chorobą i wiekiem i zdawał się blizkim grobu i niewiadomo było, kim go zastąpić. A kwestya to była ważna dla klasztoru, który nie miał żadnych osobliwości, jak relikwie święte, cudowne obrazy, lub pamiątki historyczne, tak, że tylko obecność starca ściągała w jego mury tłumy pielgrzymów.

Któż to był ten starzec? i kim wogóle są starcy? — Starzec taki, to ktoś, co bierze w duszę swoją ludzkie dusze i wole. Ten, co sobie takiego starca wybierze, wyrzeka się najzupełniej własnej woli, oddając ją w pełne posiadanie starcowi. Poddający się przyjmuje dobrowolnie tę straszną szkołę życia w nadziei, że, po długich wysiłkach, pokona się i zawładnie sobą do tego stopnia, iż uzyska w końcu doskonałą swobodę, t. j. wyzwolenie się od samego siebie, unikając w ten sposób losu tych, którzy przeżyć potrafią nieraz całe życie, nie odnalazwszy swego ja. Ta sztuka władania duszami, czyli t. zw. „starcostwo”, nie teoretyczne bynajmniej, lecz oparte na tysiącletniej praktyce, przyszło do nas ze Wschodu. Uległość względem starców jest to coś więcej, niż zwykłe posłuszeństwo klasztorne, to wieczysta niemal zależność od obranego przewodnika i nierozzerwalny z nim związek.

Opowiadają np., że w pierwszych czasach chrześcijaństwa, jeden z takich „posłuszników” nie spełnił jakiegoś polecenia swojego starca i opuścił go nawet zupełnie, przenosząc się z jego klasztoru do innego, oddalonego, gdzieś z Syryi do Egiptu. Tam, po życiu pełnem świątobliwych i bogobojnych trudów, poniósł

wreszcie śmierć męczeńską za wiarę. Gdy grzebano go z wielką uroczystością w kościele, czcząc go, oczywiście, jako świętego, to na słowa dyakona: „ustąpcie ztąd, przekłęci!” — trumna, zawierająca zwłoki męczennika, ruszyła się z miejsca i wyrzucona została z kościoła; powtórzyło się to trzykrotnie. Wtedy dopiero obecni przypomnieli sobie, że święty ów naruszył ślub posłuszeństwa względem swego starca i z tego powodu dusza jego nie może mieć spokoju, dopóki tenże sam starzec nie zwolni go od uczynionego ślubu, bez względu na wielkie zasługi męczennika. Dopiero, gdy wezwany starzec udzielił żądanego rozgrzeszenia, pogrzeb męczennika odbyć się mógł w spokoju.

Jest to zapewne stara tylko legenda, ale w każdym razie charakteryzuje ona dobrze ogromną powagę i przemożne stanowisko starców na Wschodzie. Dlatego to może, gdy z czasem instytucja ta przeniosła się do Rosji, miejscowe duchowieństwo patrzyło na starców niechętnie, uważając ich za intruzów, wdzierających się w prawa, należne tylko spowiednikom. Za to lud przyjął ich wszędzie bardzo ochoczo i otaczał ich wielkim poważaniem i miłością. Z czasem zwyczaj ten utarł się i zakorzenił, i coraz częściej spotykać można było starców, żyjących spokojnie przy klasztorach, dla których obecność ich była bardzo pożądana.

Starzec Zosima, o którym mowa była powyżej, miał wówczas 65 lat. Pochodził z rodziny szlacheckiej i za młodu służył nawet w wojsku jako oficer na Kaukazie. Wywierał on rzeczywiście na Aloszę jakiś niezwykły, osobliwy wpływ. Na młodzieńczą wyobraźnię chłopaka działała, bezwątpienia, nadzwyczajna sława i popularność tego starca. Tłumy ludzi różnych stanów schodziły się nieustannie do klasztoru, prosząc go o radę.

Opowiadano o nim, że wskutek długoletniego wysłuchiwania tysiącznych zwierzeń, trosk i kłopotów swoich pokutników, doszedł on do tak doskonałej znajomości natury ludzkiej, że odgadywał z pierwszego wejrzenia cel i powód przybycia każdego, kto się do niego zwracał, wprawiając tem gości swoich w niesłychane zdumienie.

Alosza był ulubieńcem starca i mieszkał z nim w jednej celi, widywał nieraz cudowne zmiany, jakie zachodziły w ludziach odwiedzających go, gdy wszedłszy zakłopotani, drżący i ciężko nieraz zatroskani, wychodzili z twarzą pogodną i rozjaśnioną, jakby ulegając wewnętrznemu przeobrażeniu.

Pociągało go również pogodne usposobienie starca, łagodność jego i przystępność.

Było wszakże w klasztorze kilku mnichów i to ze znaczniejszych figur, którzy zazdrościli skrycie sławy świątobliwemu Zosimie, ci jednak byli w mniejszości i nie śmieli okazywać mu niechęci wobec tego, że większość kochała go wprost fanatycznie. Ci ostatni uważali go stanowczo za świętego, a przeczuwając blizki jego zgon, oczekiwali cudów po śmierci i wielkiej sławy, która spłynie z niego na cały klasztor.

Alosza wierzył bez zastrzeżeń w cudotwórczą moc swego mistrza, podobnie jak wierzył w starą, powyżej opisaną, legendę.

Widział on nieraz, jak przyprowadzano do starca chore dzieci i dorosłych, jak błagano go, aby zechciał położyć ręce na zboląłych głowach i odczytać nad nimi modlitwę, i widział, jak na drugi dzień, lub w parę tylko godzin potem, chorzy powracali uzdrowieni, błogosławiąc i składając dziękczynienia. Czy to były rzeczywiste uleczenia, czy tylko chwilowe polepszenia, nad tem się Alosza nie zastanawiał, a sława ukochanego mistrza była jego dumą i radością.

Drżało mu zwłaszcza serce z zachwytu i szczęścia, gdy starzec wychodził przed wrota klasztorne do oczekującego tłumu pielgrzymów, którzy schodzili się z najodleglejszych stron kraju, aby tylko ujrzeć świątobliwego człowieka i otrzymać jego błogosławieństwo. Padali oni przed nim na twarz, całowali nogi jego i ziemię, po której chodził, baby podawały mu dzieci, przywożono mu chore nerwowo kobiety,

t. zw. „klikusze”, starzec rozmawiał z nimi, błogosławił, czytał modlitwy, rozgrzeszał i odpuszczał.

Dla Aloszy nie było to wcale zagadką, dlaczego lud kocha tak starca i raduje się jego obecnością, płacząc z zachwytu na sam jego widok. Rozumiał on doskonale, że proste dusze tych ludzi, zmęczone trudem i troską, a zwłaszcza grzechem i nieprawością własną i powszechną, potrzebują przede wszystkim pociechy i ukojenia. A możeż być słodsza i bardziej uspokajająca pociecha, jak mieć coś lub kogoś, świątynię lub świętego do czczenia i uwielbiania?

„Żyjemy w grzechu i kłamstwie, — to prawda. Ale za to tam, gdzieś, jest człowiek święty i wyższy, który zna prawdę i przechowuje ją. Zatem nie zginęła ona z ziemi, a z czasem przejdzie i do nas i zapanuje nad całym światem”.

Wiedział dobrze Alosza, że tak czuje i rozumie lud, zbiegający się do klasztoru i sam z całego serca uczucia te podzielał. Wierzył wraz z płaczącymi chłopcami i przynoszącymi dzieci babami, że nie kto inny, tylko starzec ów jest tym świętym, wyższym przechowywaczem i stóżem prawdy Bożej. Niezwykła sława,

jakiej świętość starca przysparzała klasztorowi, napełniała duszę jego dumą i radością, a głęboki wewnętrzny płomienny zachwyt rozpalał się coraz mocniej i mocniej w jego sercu i wypełniał go całkowicie. Nie zachwiało go bynajmniej w wierze, że święty starzec był w doskonałości swej zupełnie odosobniony i jedyny. „Cóż ztąd? — myślał. — On posiada dla wszystkich tajemnicę odrodzenia, dzięki której prawda zapanuje kiedyś na ziemi. A wówczas wszyscy mieć będą w sobie świętość i kochać się będą wzajem i nie będzie już wtedy bogatych, ni biednych, pysznych, ani poniżonych, a tylko wspólne dzieci Boże, i królestwo Chrystusa zapanuje na całej ziemi”. — Takie były najskrytsze marzenia serca Aloszy.

Przyjazd obu starszych braci, których Alosza dotąd nie znał, wywarł na niego silne wrażenie. Zbliżył się on odrazu o wiele łatwiej i serdeczniej ze starszym i przyrodnim, Dymitrem, niż z rodzonym swym bratem, Iwanem. Alosza pragnął bardzo poznać bliżej Iwana, tymczasem żyli już dwa miesiące pod jednym dachem, a stosunek ich był zawsze równie daleki. Alosza zachowywał się milcząco, Iwan zaś rzucał wprawdzie niekiedy na młodszego brata przeciągłe i badawcze spojrzenia, ale zachowywał się tak, jakby się nim wcale nie interesował.

Zauważył to Alosza z pewnem uczuciem zakłopotania. Przypisywał obojętność brata względem siebie różnicy lat i wykształcenia, ale jednocześnie zdawało mu się, że Iwan patrzy na niego chwilami z ciekawością, z której przyczyn nie zdawał sobie jasno sprawy. Byłóż to pogardliwe lekceważenie ateusza względem młodego, głupiutkiego kleryka? O! bo Alosza wiedział doskonale, że brat jego jest ateuszem. Lekceważenie to nie obrażało go bynajmniej, miał jednak nie zrozumiałą dla siebie trwogę i niepokój, i oczekiwał w niepewności chwili, w której Iwan zechce się do niego zbliżyć.

Dymitr odzywał się o Iwanie z wielkiem uznaniem i podziwem, co było tembardziej charakterystyczne, że obaj bracia różnili się ze sobą pod każdym względem. Dymitr, którego wychowanie było bardzo nieporządne, był bez porównania mniej wykształconym, a także i pod względem charakteru stanowili chyba zupełne z sobą przeciwieństwo. Od Dymitra dowiedział się Alosza o wszystkich szczegółach poznania się dwóch braci, i o przyczynach przyjazdu ich do rodzinnego miasta.

W tymże czasie powstała myśl urządzenia zjazdu czy też rady, w celu załatwienia sporów majątkowych pomiędzy starym Karamazowem, a synem jego, Dymitrem. Spory te w ostatnich czasach zaostrzyły się do najwyższego stopnia,

a stosunek ich wzajemny stał się nie do zniesienia. Fedor Pawłowicz podał myśl (z początku w formie żartu) zebrania się w celi starca Zosimy i poddania całej sprawy pod jego sąd. Dymitr, który nigdy nie był w klasztorze i nie znał wcale starca, upatrywał w tem jakby zasadzkę dla siebie i chęć zastraszenia go świętobliwym człowiekiem.

Że jednak poczuwał się sam do wielu bardzo nieodpowiednich wystąpień względem ojca, zwłaszcza w ostatnich czasach, zgodził się więc ostatecznie. Dymitr nie mieszkał w domu ojca, lecz zupełnie osobno, na przeciwnym końcu miasta.

W tymże czasie przybył także do siebie Piotr

Aleksandrowicz Mjusow. Stary liberał i ateusz, z nudów czy też z lekkomyślnej chęci rozrywki, zajął się również żywo całą sprawą i ofiarował swój współudział w radzie familijnej. Zachciało mu się nagle zobaczyć zbliżka klasztor i świętego. Dla ułatwienia sobie wstępu, zaproponował omówienie przy tej sposobności odwiecznego sporu granicznego, który wiódł oddawna z klasztorem. Wobec tego, władza klasztorna użyła całego swego wpływu, aby nakłonić Zosimę do wzięcia na siebie roli rozjemcy.

Starzec zgodził się w końcu, mimo, że w ostatnich czasach był już tak chory, że z trudnością wykonywał zwyczajne swoje obowiązki. Naznaczono więc dzień zjazdu, którego, jak się łatwo domyślić, oczekiwał z największym niepokojem biedny Alosza. Wiedział on dobrze, że jeden tylko Dymitr zapatrywać się będzie poważnie na cel zjazdu, inni zaś przybędą tu w nastroju lekkomyślnym, a może nawet ubliżającym powadze starca. Iwan i Mjusow stawiają się jedynie z ciekawości, stary zaś Fedor Karamazow odegra niezawodnie jedną z ulubionych swych błazeńskich komedyi! O! bo młody Alosza, mimo, że przeważnie milczał, znał bardzo dobrze swego ojca. Z ciężkim też uczuciem oczekiwał dnia zebrania.

Alosza pragnął niezawodnie zakończenia rodzinnych nieporozumień, ale przede wszystkim chodziło mu o starca, drżał o niego i jego sławę, lękał się delikatnych docinków Mjusowa i znaczących niedomówień uczonego Iwana, obawiał się, aby kto nie uchybił ukochanemu jego mistrzowi. Chciał z początku uprzedzić Zosimę, pomówić z nim o tych nieznanym mu ludziach, którzy tu przybyć mają; po namyśle jednak zaniechał tego zamiaru. Napisał tylko do brata Dymitra, że kocha go serdecznie i przypomina mu daną sobie niegdyś obietnicę. Dymitr zamyślił się nad tą wiadomością, bo nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, czy obiecał co kiedy młodszemu bratu. Odpisał mu jednak, że

wprawdzie ceni bardzo wysoko brata swego, Iwana, i ma należną część dla świętobliwego Zosima, ale przeczuwa coś nakształt zasadzki, lub komedyi w zamierzonym zjeździe i nie da się nikomu poniżyć lub w pole wprowadzić. Dodawał jednak w końcu, że powściągać będzie swój język i nie pozwoli sobie na najmniejsze uchybienie względem świętobliwego męża, do którego brat jego jest tak przywiązany. Słowa te dodały otuchy Aloszy, tak, że z większym już spokojem oczekiwał naznaczonego dnia zjazdu.

ROZDZIAŁ DRUGI.

NIEUDANE ZEBRANIE.

Było to w piękny, ciepły i jasny poranek sierpniowy. Zjazd umówiony był na wpół do dwunastej, po nabożeństwie. Zaproszeni jednak nie stawili się wcale na mszę i przybyli w chwili gaszenia świec. Przyjechali oni w dwóch pojazdach. W jednym z nich, ciągnionym przez silne, rosłe rumaki, przybyli:

Piotr Aleksandrowicz Mjusow i daleki krewny jego, Piotr Fomicz Kałganow, młody, dwudziestoletni chłopak, przygotowujący się do uniwersytetu. Kałganow mieszkał w domu Mjusowa, który zachęcał go do udania się za granicę do Zurichu lub Jeny, dla ukończenia tam studyów. Był to chłopak wysoki i przystojny i bardzo roztargniony. W liczniejszym towarzystwie zachowywał się milcząco i cokolwiek niezręcznie, gdy się jednak znalazł z kim sam na sam, ożywił się nagle, mówił wiele i z zapałem, śmiejąc się często niewiadomo z czego; ubrany był starannie, nawet z pewnem wyszukaniem. Był zamożny, a z Aloszą łączyły go węzły przyjaźni.

W drugim powozie, starym i rozklekotanym, odbijającym jaskrawo od eleganckiego zaprzęgu Mjusowa, przybył stary Fedor Pawłowicz Karamazow ze starszym synem, Iwanem.

Dymitr Fedorowicz opóźniał się z przybyciem, mimo, że zawiadomiono go wczoraj o miejscu i godzinie spotkania.

Wszyscy goście, z wyjątkiem Fedora Pawłowicza, znajdowali się po raz pierwszy w obrębie murów klasztornych, nie mówiąc o Mjusowie, który już od 30 lat nie przekroczył progów kościoła. Ten oglądał się z ciekawością dokoła po obejściu klasztoru, nie zauważył jednak nic osobliwego. Lud wiejski wychodził z cerkwi z odkrytą głową, żegnając się wielokrotnie. Inteligencji było bardzo niewiele, parę dam i jakiś stary generał.

Kilkunastu żebraków obstało naszych gości, prosząc o jałmużnę, nikt się jednak z datkiem nie kwapił. Tylko Piotruś Kałganow wyjął rubla z sakiewki, przyczem zmieszał się mocno, mimo, że na postępek jego nikt nie zwrócił uwagi. Wcisnął banknot w ręce pierwszej lepszej babie, mówiąc szybko „rozdajcie to równo między wszystkich”, obejrzał się naokoło, i nie wiedząc czego, zażenował się jeszcze bardziej.

Goście byli jednak cokolwiek zdziwieni, że nikt nie wychodzi na ich spotkanie. Jeden z nich ofiarował przecież niedawno całe tysiąc rubli na rzecz klasztoru, drugi był najbogatszym, i można powiedzieć, najoświecieńszym obywatelem z okolicy, a przytem mieszkańcy klasztoru byli do pewnego stopnia od niego zależni z powodu ciągnącego się jeszcze procesu. Mimo to, nie zanosilo się wcale na jakieś oficjalne przyjęcie i zdawało się, że nikt nie zauważył ich przybycia.

Mjusow rozglądał się z roztargnieniem po kamiennych grobowcach, wznoszących się około cerkwi i miał ochotę zauważyć, że pobożne duszyczki, tu pochowane, musiały słono zapłacić za prawo pogrzebania w tak świętem miejscu; wstrzymał się jednak od wypowiedzenia tej myśli, mimo, że zwykła jego liberalna ironia zaczynała przeradzać się w uczucie gniewu.

— Cóż u dyabła?! czy niema tu do kogo słowa przemówić? — mruknął wreszcie, jakby sam do siebie, — w takim razie wynośmy się ztąd odrazu, po co czas tracić na darmo?

W tejże chwili ukazał się mały, łysy człowieczek o łagodnem wejrzeniu, zdający się prawie tonąć w fałdach obszernego płaszcza. Uchyliwszy kapelusza, przedstawił się naszym gościom jako obywatel z Tuły i zaczął z nimi rozmowę.

— Starzec Zosima — objaśniał — mieszka w osobnem ustroniu, o jakie czterysta kroków od klasztoru, za laskiem. — Inaczej tu było dawniej, za poprzedniego starca

Warsonowa — zauważył Fedor Pawłowicz. — Tamten nie lubił elegancji, wybiegał tu podobno na spotkanie gości i okładał kijem wszystko, co spotkał, nawet damy.

— Starzec Warsonow był istotnie cokolwiek chory na umyśle pod koniec życia, ale wiele też opowiadano o nim zmyślonych historyi. Kijem zaś nikogo nie okładał — odpowiedział braciszek. — A teraz, raczcie panowie zaczekać tu chwilkę, pójdę uprzedzić starca o waszem przybyciu.

— Fedorze Pawłowiczu! — ostrzegał jeszcze raz Mjusow,

— staraj się zachowywać jak należy, inaczej możesz tego gorzko żałować.

— Zupełnie nie rozumiem twego oburzenia, odparł szyderczo Karamazow. — Czy stare grzechy takiego ci strachu napędziły? Pamiętaj, że starzec czyta z oczu myśli ludzkie i odgadnie odrazu powód twego przybycia. I odkądże to liczysz się tak z opinią mnichów? Ty, Paryżanin, człowiek wytrawny...

doprawdy, dziwię się.

Mjusow nie zdążył jeszcze odpowiedzieć, gdy powrócił dotychczasowy ich przewodnik, oznajmiając, że starzec czeka na nich. Mjusow czut się dziwnie rozdrażniony. „Znam siebie — pomyślał. — Zdenerwowany jestem, uniosę się, zapalę i skompromituję tak siebie, jak swoje przekonania”.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

